

Zabobon sukcesu

8 maja 2023

Przedstawiamy artykuł z 1908 roku, który wciąż jest aktualny!

Pojawił się niedawno w Anglii pewien szczególny rodzaj książek i artykułów, które zupełnie prawdziwie i poważnie nazwać można najgłupszymi ze wszystkich, jakie tylko kiedykolwiek ludzkość z siebie wydała. To dzieła naraz bardziej szalone niż najbardziej szalone romanse rycerskie i nudniejsze niż najnudniejsze traktaty religijne. Co więcej, romanse rycerskie przynajmniej naprawdę mówiły o rycerzach; traktaty religijne o religii. Te produkty pióra, o których mówię zaś, są o niczym; bo o czymś, co nazywa się dzisiaj Sukcesem. Na każdym straganie z książkami, w każdym magazynie, można znaleźć tysiące porad na temat tego, jak odnieść sukces. To książki o sukcesie we wszystkich dziedzinach; pisane przez ludzi, którzy nie potrafią nawet z sukcesem napisać książki.

Zacznijmy od tego, że – rzecz jasna – nie ma czegoś takiego jak sukces. Albo, jak kto woli, nie ma niczego, co nie byłoby sukcesem. Sukces czegokolwiek oznacza po prostu tyle, że istnieje; sukces milionera polega na byciu milionerem, a osła na byciu osłem. Każdy żywy człowiek odniósł sukces w tym sensie przynajmniej, że żyje; dowolny trup – mógł z sukcesem popełnić samobójstwo. Niemniej, pomijając już błędy logiczne i filozoficzne kryjące się za tym rozumieniem owego pojęcia, możemy przyjąć, jak rzeczeni pisarze, że „sukces” oznacza po prostu zdobycie pieniędzy i pozycji w świecie. Otóż twórcy nasi twierdzą, że dzięki nim szary człowiek nauczy się odnosić sukcesy w swoim zawodzie, względnie w spekulacjach, którymi się akurat zajmuje – to znaczy: jeśli jest budowlańcem, będzie odnosił sukcesy jako budowlaniec; a jeśli maklerem – jako makler. Twierdzą, że dzięki ich radom właściciel warzywniaka zacznie ścigać się zawodowo na jachtach; dziesiątej kategorii dziennikarzyna zostanie parem; a niemiecki Żyd – Anglosasem. To jasna i konkretna propozycja biznesowa, i naprawdę sędzę,

że ci, którzy te książki kupują (a są tacy), mają pełne prawo – na pewno moralne – domagać się zwrotu pieniędzy. Nikt nie ośmieliłby się wydać książki o elektryczności, która nie mówiłaby nic o elektryczności; nikt nie opublikował artykułu z dziedziny botaniki, którego autor nie wiedziałby, czy rośliny rosną korzeniami w dół, czy w górę. A jednak, świat współczesny pełen jest książek na temat sukcesu, w których nie znajdzie się choćby zrębu względnie racjonalnej idei i praktycznie ani krzty względnie zrozumiałej wypowiedzi.

Zupełną oczywistością jest, że w każdym względnie przyzwoitym zawodzie (na przykład murarstwo czy pisanie książek) sukces odnieść można tylko na dwa sposoby. Po pierwsze, robiąc świetną robotę, po drugie – oszukując. Obydwa są zbyt proste, by trzeba było o nich pisać. Jeśli konkuruje się o medale w skoku wzwyż, wówczas albo trzeba skoczyć wyżej niż wszyscy, albo w jakiś sposób wmówić wszystkim, że tak się zrobiło. Jeśli chce się wygrywać w wista, trzeba grać dobrze w wista – albo znaczyć karty. Pewnie znajdzie się ktoś, kto chciałby poczytać książkę o skakaniu; nawet o grze w wista; a nawet o tym, jak oszukiwać w wista. Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie chciał czytać książek na temat sukcesu. I na pewno nie takich, których setki, o ile nie tysiące porzrzucane są obecnie po naszym rynku księgarskim. Można lubić skoki wzwyż i można lubić karty, ale na pewno nikt nigdy nie lubił, nie lubi i nie polubi nieskładnych zdań uświadamiających mu, że skakanie to skakanie, albo że w grach wygrywają zwycięzcy.

Gdyby ci twórcy, na przykład, postanowili wypowiedzieć się na temat tego, jak odnieść sukces w skakaniu, brzmiałoby to mniej więcej tak: „Skoczek musi mieć jasny cel. Musi pragnąć skoczyć wyżej, niż wszyscy inni skoczkowie. Musi pozbyć się całkowicie miałkich sentymentów, współczucia i litości (uwaga! bo jakże łatwo zarazić się dzisiaj nimi od angielskich patriotów czy przeciwników drugiej wojny burskiej) i za wszelką cenę dać z siebie wszystko. Pamiętać musi, że konkurencja w skokach jest szczególnie ostra i bezwzględna, i że, jak to doskonale

wykazał wielki Karol Darwin, SŁABI ODPADAJĄ". Brzmiałoby to, powiadam, mniej więcej tak, i na pewno najlepszy efekt przyniosło, gdyby czytać to ściszym głosem (i czyniąc dramatyczne pauzy) bardzo młodemu człowiekowi, który właśnie miałby wykonać skok wzwyż.

Albo założmy, że w trakcie swych intelektualnych wędrówek nasz filozof sukcesu zająłby się drugim z wymienionych przez nas przykładów, graniem w karty. Prawdopodobnie, pełnym śmiałości głosem zaczęłby obwieszczać: „Jeśli gra się w karty, jak ognia unikać trzeba częstego ostatnio błędu (powszechnego zwłaszcza wśród zniewieściałych humanitarystów i ideologów wolnego handlu), polegającego na tym, że pozwalamy przeciwnikowi wygrać. Nie, nie, nie – trzeba zacisnąć pięści i zęby, i walczyć aż do zwycięstwa. Epoka idealizmu i przesądów dobiegła końca. Żyjemy w czasach nauki i zdrowego rozsądku, nauka zaś niezbiecie udowodniła, że w każdej grze, w którą gra się we dwójkę, JEŚLI JEDNA STRONA PRZEGRA, DRUGA WYGRA". Nie da się ukryć, fascynujące; wyznam wszakże (z pewnym wstydem), że gdybym sam chciał pograć w karty, prędzej już zaopatrzyłbym się w małą książeczkę wyjaśniającą zasady gry. Jeśli nie chodzi o reguły, chodzi wyłącznie o talent lub o nieuczciwość; i zasadniczo chciałbym wykazać się albo jednym, albo drugim, a czym faktycznie mógłbym – to już nie mnie rozstrzygać.

Przeglądając popularne magazyny angielskie, raz po raz natrafia się na przedziwnych i zabawnych ludzi. Na przykład czytałem niedawno taki ciekawy artykuł – „Instynkt bogactwa”, okraszony na pierwszej stronie wielkim portretem Lorda Rotszylda. Otóż na mój rozum, w kwestii bogacenia się istnieją tylko metody uczciwe lub nieuczciwe; a jedyny „instynkt”, który przychodzi mi w związku z nią do głowy, to ten, który stara, prymitywna teologia chrześcijańska określała mianem „chciwości”. To wszakże ledwie dygresja. Teraz chciałbym zacytować tutaj kilka fragmentów odnośnego dzieła, stanowiących doskonały przykład typowego poradnika „człowieka sukcesu”. Takie są praktyczne; i nie pozostawiają żadnych

wątpliwości, co powinniśmy zacząć teraz robić – „Nazwisko »Vanderbilt« [1] stało się synonimem bogactwa, którego zdobycie umożliwia nam obecny system. »Cornelius«, pierwszy z rodziny, był również pierwszym wielkim magnatem handlowym Ameryki. Zaczynał jako syn ubogiego rolnika; skończył jako najbogatszy człowiek swoich czasów”.

„Miał instynkt bogacenia się. Umiał korzystać z okazji, robić dobry użytek z możliwości, jakie otworzyło przed człowiekiem zastosowanie w transporcie morskim silnika parowego, i narodziny transportu kolejowego w bogatych, acz nierozwiniętych jeszcze Stanach Zjednoczonych, dzięki czemu zgromadził kolosalną fortunę”.

„Oczywiście, nie możemy pójść za przykładem tego monarchy transportu dosłownie krok w krok. Okazje, które mu się nadarzyły, nam się już nie nadarzają. Okoliczności się zmieniły. Ale mimo to, możemy, stosownie do warunków naszego czasu, stosować te same co on metody; możemy korzystać z tych okazji, które się przed nami otworzą, i dać sobie przynajmniej szansę na zabicie fortuny”.

Podobnie osobliwe sformułowania pozwalają nam przynajmniej bezbłędnie zorientować się, co tkwi u podstaw wszystkich tego typu książek i artykułów. Nie chodzi o biznes; nawet nie o pospolity cynizm. Chodzi o mistycyzm; straszliwy i wstrętny mistycyzm mamony. Autor tych akapitów nie miał zielonego pojęcia, jak właściwie Vanderbilt doszedł do swoich pieniędzy, albo jak ktoś inny mógłby do nich dojść. Istotnie, kończy swój wywód jakimś niejasnym zarysem planu; który nie ma jednak nic wspólnego z Vanderbiltem. Jedyne, czego ten autor pragnął, to popłaszyc się trochę przed misterium milionera. Bo jeśli naprawdę coś czcimy, kochamy to nie za jasność, ale właśnie za tajemniczość. Radujemy się faktem, że nasz bóg jest niewidzialny. Tak też, na przykład, gdy młody chłopak zakocha się w jakiejś dziewczynie, szczególnie podoba mu się w niej to, że jest nieracjonalna. Lub też pobożny poeta, pisząc na cześć Stwórcy, szczególną przyjemność czerpie z wersów takich

jak „Jakże tajemnie Bóg ziemię przebiega” [2]. Otóż autor przywoływanego tu artykułu najprawdopodobniej nigdy nie miał nic do czynienia z żadnym bogiem, ani (co wnoszę z ekstremalnej niepraktyczności jego przemyśleń) nigdy naprawdę nie zakochał się w kobiecie. Niemniej, do swego osobistego bożka – Vanderbilta – odnosi się w sposób nie mniej mistyczny. Odczuwa przedziwną rozkosz z faktu, że wielkie bóstwo coś przed nim ukrywa. I dusza jego wpada w swego rodzaju zachwycenie szarlatana, ekstazę fałszywych proroków, mogąc udawać, że oto uchyla przed masami rąbka tej tajemnicy, o której sam nie ma pojęcia.

Mówiąc o instynkcie bogactwa, ten sam autor zauważa: „W dawniejszych epokach doskonale zdawano sobie sprawę z jego istnienia. Starożytni Grecy uwiecznili ów instynkt w opowieści o królu Midasie, w wizji »złotego dotyku«. Oto człowiek, który zamienia w złoto wszystko, czego dotknie. Jego życie to jeden wielki marsz ku fortunie. Ze wszystkiego, na co w życiu natrafił, wyprowadzał natychmiast ów szlachetny kruszec. »Głupia legenda«, śmiali się mędrkowie czasów wiktoriańskich. »Prawda«, mówimy dzisiaj. Bo przecież widzimy takich ludzi na własne oczy. Wszyscy znamy, osobiście lub tylko ze słyszenia, tych, którzy zamieniają w złoto wszystko, czego się tylko dotkną. Sukces podąża za nimi krok w krok. Ich droga wiedzie w górę, w górę, na sam szczyt. Nie znają, nie mogą znać, smaku porażki”.

No cóż, Midas niestety mógł poznać smak porażki; i poznał smak porażki. Jego droga nie wiodła w górę, w górę, na sam szczyt. Umarł z głodu, ponieważ ilekroć dotykał herbatników czy kanapki z szynką, zamieniały się w złoto. I to jest właśnie morał tej historii, choć autor nasz zmuszony był go dyskretnie przemilczeć, publikując swe dzieło tak blisko portretu Lorda Rotszylda. Stare bajki ludzkości stanowią, istotnie, źródło niezgłębionej mądrości – i nie wolno ich cenzurować w hołdzie dla pana Vanderbilta. Nie wolno przedstawiać króla Midasa jako człowieka sukcesu; z tego prostego powodu, że to człowiek,

który poniósł porażkę, i to niezmiernie dotkliwą. Oprócz tego wyrosły mu ośle uszy. I, jak wszystkie znaczniejsze osoby, bardzo starał się to ukryć. Jego fryzjer (o ile pamiętam), proszony był o zachowanie w tej sprawie najwyższej dyskrecji; i jegomość ten, zamiast stać się energicznym biznesmenem ze szkoły sukcesu i zacząć szantażować króla Midasa, poszedł za miasto i rozpowiedział o tym skandalu trzcinom wodnym, które miały w związku z tym chwilę dobrej zabawy. Powiada się, że szeptały o tym ze śmiechem, gdy wiatr je kołysał. Spoglądam z nabożnym szacunkiem na portret Lorda Rotszylda; z nabożnym szacunkiem czytam o wyczynach pana Vanderbilta. Wiem, że nie wszystko, czego się tknę, zamienia się w złoto; ale też nigdy nie chciałem, żeby tak było, bo oprócz złota lubię na świecie kilka innych rzeczy, takich jak młoda trawa czy dobre wino. Wiem, że ci ludzie naprawdę, w pewnym sensie, odnieśli sukces; że udało im się kogoś pokonać; że są królami, których wcześniej świat nie widział; że kreują rynki, i potrafią utopić w morzu całe kontynenty. A jednak zawsze miałem wrażenie, że przy całej swej pompie cały czas usiłują ukryć coś przed światem, jakiś mały, wstydlivy fakt z prywatnego życia, który ich męczy – i czasem wydaje mi się, że słyszę niesione wiatrem śmiech i szepty trzcin.

Tak czy inaczej, miejmy nadzieję że przynajmniej absurdalne książki na temat „sukcesu” przykryje kiedyś sprawiedliwie kurz pogardy i zapomnienia. Bo uczą one nie sukcesu, lecz snobizmu; stanowią swego rodzaju mroczną poezję światowości. Purytanie bez końca piętnują książki, które „rozpłomieniają żądze”; cóż powiemy o tych, które rozpłomieniają gorsze namiętności chciwości i pychy? Sto lat temu mieliśmy ideał sumiennego ucznia; małym chłopcom mówiło się, że jeśli będą dość ciężko pracować, wszyscy zostaną burmistrzami. Było to głupstwo, ale męskie głupstwo, i to niepozbawione ziarenka prawdy moralnej. W naszym społeczeństwie oszczędność nie pomoże ubogim się wzbogacić, ale na pewno może pomóc im nabrać szacunku do siebie. Dobrze wykonana praca nie robi z nikogo bogatego człowieka, ale być może chociaż dobrego pracownika. Moralność

„sumiennego ucznia” była niska i trochę prymitywna, fakt – była wszakże przynajmniej moralnością. A co powiemy o ewangelii, którą przekazują teraz światu współcześni „sumienni uczniowie”; otwarcie głoszący nam już nie nową moralność – lecz niemoralność?

Autorstwo: Gilbert Keith Chesterton

Tłumaczenie: Maciej Sobiech

Źródło oryginalne: „All Things Considered” (1908 r.)

Źródło polskie: NowyObywatel.pl

Przypisy

[1] Cornelius Vanderbilt (1794-1877) – amerykański potentat transportu morskiego i kolejowego, a także założyciel rodu.

[2] Aluzja do słynnego wiersza angielskiego poety Williama Cowpera (1731-1800) pt. „God moves in a mysterious way”.